Świat powieściowy.

Nr. 110 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

IX.

Munito powiedział prawdę.

Był to on, ten mały kuglarz, który niegdyś w Auxerre stał się przyczyną śmierci pana de Maugeville i pani Fanfreluche.

Co się z nim stało potem, jakie było jego życie odtąd?

Opowiedział on to w krótkości panu de Villenave.

— Panie — mówił on — nim ci powiem, czego spodziewam się od ciebie, i czego możesz się spodziewać odemnie, muszę ci powiedzieć kto jestem.

Urodziłem się w Afryce, z matki cyganki.

Krew gorąca mego rodu i żar nieba afrykańskiego, rozwinęły we mnie dwa prawdziwe uczucia.

Umiem kochać i nienawidzieć.

Kochałem cygana Fanfreluche, nienawidziłem jego żonę.

Dlaczego?

Fanfreluche był uczciwym człowiekiem i miał dobre serce, mimo swojej powierzchowności dzikiej i rubasznej.

Na rękach jego umarła moja matka i wziął nas za swoich: siostrę moją i mnie.

Bo mam siostrę panie, siostrę tak piękną, że chociaż ma lat przeszło trzydzieści, ręczę, że gdybyś ją ujrzał, rozkochałbyś się do szaleństwa!

Pan de Villenave nie mógł się wstrzymać od uśmiechu. Munito mówił dalej:

Przez wiele lat Fanfreluche, który nie był wtedy żonatym, pracował i żył tylko dla nas. Nie miał jeszcze wtedy trupy, był tylko herkulesem i wszystko co zarabiał było dla nas, których nazywał swoimi dziećmi.

Ale pewnego dnia miłość zawróciła mu głowę.

Zakochał się w cygance z innego pokolenia, dla niej porzucił naszą dawną trupę, i przeszedł do tej gdzie ona była.

Ja i moja siostra byliśmy nieszczęśliwi.

Perdita — było to imię cyganki — biła nas.

Siostra moja płakała, a ja do siebie szeptałem: Gdy będę większym, pomszczę się!

Miałem lat czternaście, gdy się przekonałem, że Perdita miała kochanka.

Mogłem się pomścić nareszcie!

Uprzedziłem Fanfreluche'a, ten pewnej nocy, schwyciwszy winnych, zabił oboje.

Jednakże — mówił Munito z gorzkim uśmiechem — nie pomyślałem nad wszystkiem.

Nasyciłem moją zemstę, pomściłem się nad Perditą, ale straciłem mego Fanfreluche'a.

Nieszczęśliwy skazanym został na śmierć, potem złagodzono wyrok i wysłano go na galery.

I jest tam dotąd. Ma lat sześćdziesiąt, ale mimo to jest rzeskim i silnym, a życie surowe, jakie prowadzić musi, nie zmieniło jego zdrowia.

Gdy mam pieniądze, posyłam mu.

Dwa razy na rok jeżdżę do Toulonu, aby go obaczyć. Siostra moja jeździ ze mną.

Biedny stary płacze, nazywając nas swemi dziećmi.

Długi czas myślał, że córka jego umarła, a ponieważ ja i siostra moja opuściliśmy Auxerre po tej katastrofie, powiedziano nam, że mała, nie mając matki, z braku troskliwości, umarła.

Ale przed trzema laty, przejeżdżając przez Auxerre, bo odtąd byłem ciągle kuglarzem, zobaczyłem się z pewną starą kobietą, która dawniej służyła u mojej matki.

Kobieta ta miała szynkownię, a dowiedziawszy się, że byłem z trupy cygana Fanfreluche, rzekła do mnie:

— Wprawdzie jestem tylko biedną staruszką, i pewnie by mi nie uwierzono, ale znam tajemnicę, która by może zadziwiła całe miasto, gdybym ją powtórzyła.

Z początku nie chciała nic więcej powiedzieć, ale umiałem ją sobie zjednać, wyśmiałem jej skrupuły, i przysiągłem nawet, że tajemnicy tej nie odkryję nikomu, dopokąd ona żyć będzie.

Uwierzyła mojej przysiędze i rzekła:

— Córka cygana Fanfreluche nie umarła!...

Drgnąłem i spojrzałem na nią.

— Czy jesteście tego pewni? — zapytałem.

— Słuchaj — mówiła mi — służyłam u mera, gdy Fanfreluche zabił swoją żonę.

Przyniesiono małą dziewczynkę, i miano oddać do domu podrzutków, gdy pan de Planche-Mibray zjawił się i zabrał ją.

Mnie nawet polecono wyszukać niańkę, która tego samego wieczora z dzieckiem i panem de Planche-Mibray odjechała do Paryża.

Jest temu lat dwadzieścia, mówiła dalej, a pamiętam to tak dobrze, jakby się działo wczoraj.

— Ale cóż się stało z małą dziewczynką? — zapytałem.

— Została wielką panią.

— Drwicie sobie ze mnie, moja matko!

— Wcale nie — odrzekła z przekonaniem — ją to dzisiaj nazywają panią de Planche-Mibray.

— Ależ to niepodobne!

— A jednak prawdziwe.

— Jakże to wiecie?

— Ależ na miłość Boską! — odrzekła — dość na nią spojrzeć, żywy portret matki.

Nazajutrz był dzień targowy w Auxerre. Czatowałem u drzwi hotelu du Leopard, gdzie pan de Planche-Mibray zajeżdżał.

O trzy kwadranse na dziesiątą, zajechał w swym eleganckim powoziku, zaprzężonym prześlicznymi końmi. Żona siedziała obok niego, a dwóch lokai z tyłu.

Poznałem go zaraz, chociaż włosy jego pobielały.

Co do niej...

O! ona wydała mi się Perditą wskrzeszoną. I ja także nie mogłem wątpić teraz!

Ale przysiągłem starej kobiecie, a gdy cygan przysięgnie, niewolnikiem jest swego słowa. Opuściłem Auxerre, powróciłem dopiero roku zeszłego.

Staruszka umarła, byłem wolny.

Pan de Planche-Mibray także umarł.

Pojechałem do Toulonu, rzuciłem się w objęcia biednego Fanfreluche, mówiąc:

— Córka twoja żyje!

I opowiedziałem mu wszystko, a Fanfreluche płakał rzewnemi łzami.

I oto dlaczego panie — kończył Munito — chciałbym, abyś poślubił baronowę de Planche-Mibray, i dla czego chciałbym zabić Manuela de Maugeville.

Leon de Villenave słuchał kuglarza nie przerywając.

— A więc — odezwał się, gdy Munito skończył — z propozycją targu przychodzisz pan do mnie?

— Tak.

— Słucham.

— Człowiek taki jak pan, bogaty i wysoko stojący, powinien uzyskać ułaskawienie dla swego teścia i uwolnić go z galer.

Pan de Villenave nie mógł się powstrzymać od lekkiego skrzywienia. Nie pomyślał dotąd, że zostawszy mężem baronowej, stawał się także zięciem galernika Fanfreluche.

— Dobrze — odrzekł — mam dosyć przyjaciół wysokie zajmujących stanowisko i to będzie łatwem. Cóż potem?

— Ależ ja nic więcej nie żądam od pana — mówił Munito. — A! prawda, gdy zostaniesz pan mężem pani de Planche-Mibray, wyznaczysz pensję stosowną biednemu starcowi, nieprawdaż?

— Bezwątpienia. Czy to już wszystko?

— Na teraz przynajmniej. A teraz oto co ja mogę uczynić dla pana.

— Słucham.

— Mogę zabić pańskiego rywala.

— Maugeville'a?

— Mój Boże! — ciągnął dalej Munito zimno i obojętnie — pan de Maugeville tak lubi przejeżdżać się konno po lesie. O sto kroków strzelę do niego i pewnie nie chybię. Lasy są tak gęste. Ukryję się. Gdyby mię schwycono, pójdę na galery... albo mię powieszą. Ale mniejsza o to! Winienem to biednemu Fanfreluche

Leon de Villenave uśmiechnął się.

— Mój kochany panie Munito — rzekł — nim pochwalę lub zganię pański zamiar, pozwól niech ci zrobię jedno pytanie.

— Słucham.

— Mówiłeś mi, że masz siostrę.

— Tak panie.

— Piękną?

— Tak, że można oszaleć!

— A więc — odrzekł pan de Villenave — co myślisz pan o tem? Czyby nie lepiej by rozkochać do szaleństwa Maugeville'a, niźli go zabijać?

— Może masz pan słuszność — odparł Munito, którego zaraz tknęła ta rada piekielna.

— Teraz — odezwał się pan de Villenave — co do tego zamiaru, trzeba będzie jeszcze porozumieć się i namyśleć. Nic nie nagli — ale jest co innego... naglego.

— Cóż takiego?

— Pani de Planche-Mibray, jestem tego pewny, nie wie nic o swojem pochodzeniu.

— Czy podobna?

— Jest to rzecz pewna panie Munito. A trzeba, żeby wiedziała wszystko. Któż jej to oznajmi?

— Ja.

— Otóż to dobrze! wolę że pan, i kiedyż jej to powiesz?

— Ależ wprowadź mię pan tylko do niej, a zaraz...

— Nie jestem tak dobrze z moją ciotką — odrzekł Leon śmiejąc się — abym panu mógł dać jakiś list polecający, ale mogę panu co innego ofiarować.

— Cóż takiego?

— Klucz.

— Klucz?! — rzekł Munito zdziwiony.

— Tak, mam klucz od furtki jej ogrodu, przez bulwar Inwalidów. Jesteś śmiałym, odważnym, baronowa jest marzycielką, przechadza się chętnie w nocy sama. Mając trochę zręczności, obaczysz się z nią sam

na sam. Gdyż przystaję na pańską ugodę, ale pod jednym warunkiem.

— Słucham pana.

— Że nikt w świecie nie będzie wiedział o pochodzeniu baronowej. Pod tym tylko warunkiem ożenię się z nią.

— Przysięgam panu — rzekł cygan.

Nagle jakaś myśl dziwna, podejrzenie raczej, powstało w umyśle pana de Villenave.

— Sądzę — rzekł on — żeś nie widział pan więcej pani de Planche-Mibray, jak tylko wtedy, przed hotelem du Leopard?

— Widziałem ją raz jeszcze potem.

— Kiedy?

— Przed trzema tygodniami. O mało nie roztratowały mię jej konie.

— I znajdujesz pan, że jest podobna do matki?

— Jak dwie krople wody.

— Jest bardzo piękna zdaniem pańskiem?

— Prawie tak piękna jak moja siostra.

— A więc... dlaczego... nie myślałeś pan... pokochać ją... sam?

Munito uśmiechnął się tym śmiechem ironicznym, jaki raz już baronowa ujrzała na jego ustach.

— Dlaczego? — odrzekł. — Ponieważ nienawidziłem jej matkę, a ona do niej podobna.

Była to odpowiedź jasna i stanowcza.

Pan de Villenave otworzył biurko, odsunął szufladę, wyjął klucz, i podał go cyganowi.

Munito wziął klucz i chciał odejść.

— Jeszcze jedno słowo — rzekł pan de Villenave.

Munito zatrzymał się.

— Przysięgnij mi pan, że nie kochasz baronowej.

— Przysięgam.

— Wierzę panu, przyjdź do mnie jutro o tej samej godzinie.

— Przyjdę — odpowiedział Munito.

Gdy cygan odszedł, pan de Villenave szepnął:

— Otóż to mi sprzymierzeniec, lepszy niż Corinna! Ale trzeba będzie pomyśleć o środku pozbycia się go tak samo jak Fanfreluche'a, któremu tam najlepiej na galerach. Niech tylko zostanę szczęśliwym mężem pani de Planche-Mibray!...

Jak widzimy pan de Villenave już myślał o zdradzeniu sprzymierzeńca, którego mu zsyłał przypadek.

X.

Rano pan de Villenave oddał klucz od furtki ogrodu, a cygan jak widzimy nie tracił czasu.

Można sobie wyobrazić, jakie wzruszenie i trwoga owładły panią de Planche-Mibray, znajdując się sam na sam z tym człowiekiem, którego widziała już dwa razy, a który na niej wywarł tak dziwne wrażenie.

Krzyknęła z przerażenia i cofnęła się.

Munito wpatrzył się w nią swemi dzikiemi, błyszczącemi oczyma.

— Uspokój się pani — rzekł głosem prawie dźwięcznym, mimo tonu despotycznego — uspokój się!

Cofnęła się dalej.

— Nie jestem złodziejem ani mordercą — odezwał się Munito. — Gdyby ci groziło jakie niebezpieczeństwo, obroniłbym cię...

— Któż pan jesteś? — rzekła.

I podlegając urokowi, jaki wywierał ten człowiek, patrzyła na niego ciągle i nie odchodziła.

— Pani — rzekł Munito głosem poważnym — jestem biednym cyganem i gdybym się w dzień ukazał u bramy twego pałacu, ludzie twoi wyrzucili by mię może za drzwi! Wybacz więc, że się zbliżam do ciebie w ten sposób.

— Ale któż pan jesteś? — pytała baronowa, starając się zapanować nad swojem przerażeniem.

— Imię moje niewiele ci powie. Nazywam się Munito.

Baronowa ciągle wpatrywała się w niego. Bojaźń jej mięszała się z ciekawością.

— Ale mogę powiedzieć ci coś, co ci powie, kim jestem.

— Mów — rzekła źdźiwiona i zaniepokojona.

— Jestem przyjacielem, synem przybranym, twego ojca...

— Mego ojca?! — wykrzyknęła młoda kobieta.

Był to dla niej cały poemat w tem jednem słowie.

Jej ojciec!

Żył więc na świecie człowiek, który znał jej ojca, i wiedział o jej pochodzeniu.

Jej ojciec!

Munito spostrzegł, że się zachwiała i zbladła.

Podbiegł i podtrzymał ją.

— Więc pan znałeś mojego ojca, pan? — rzekła głosem słabym.

— Znam go jeszcze pani.

— Więc on żyje?

A w zapytaniu tem był taki wybuch radości, że Munito drgnął.

— Żyje pani — odrzekł cygan.

— Mój ojciec!... mam ojca!... — szeptała baronowa rozgorączkowana — i nigdy go nie widziałam... i nigdy do mnie nie przyszedł!...

Munito schylił głowę i szepnął:

— Nie mógł.

— Ale któż jest moim ojcem? Możesz mi przecież powiedzieć, pan, który go znasz — wołała.

Munito nie przerażał już jej.

Upadła na ławkę, na której siedziała niedawno, a z której wstała drżąca, usłyszawszy otwierającą się furtkę.

Munito stał przed nią i wpatrywał się w nią błyszczącemi oczyma.

— Tak, znam ojca pani — mówił — i znałem matkę...

— Moją matkę!

— Umarła — rzekł cygan. — Właśnie, aby pomówić z panią o nich, przyszedłem tutaj.

Stał ciągle przed nią, z głową odkrytą, i zdawał się także dziwnie wzruszony.

— Pani — rzekł nareszcie — czy nieboszczyk mąż pani, baron de Planche-Mibray, nie mówił nigdy nic pani o tem?

— Nigdy nic, z wyjątkiem tego, że byłam sierotą.

— Zwodził panią — odparł Munito.

Po chwili począł znowu:

— Czy nie zastanowiłaś się pani nigdy nad tem, przeglądając się w zwierciedle, że byłaś pięknością niezwykłą w Paryżu?

— Cóż dalej? — odrzekła.

— Że twoja cera smagła, oczy wielkie, czarne, rysy niezwykłe i usta tak koralowe, czyniły cię różną od innych kobiet, które napotykasz pani codziennie w świecie, w którym żyjesz?

— Dlaczego mi pan to mówisz? — zapytała pani de Planche-Mibray, drżąc z przerażenia.

— Nareszcie — kończył Munito — czy nie pomyślałaś pani nigdy, że należysz może do innych ludzi, a nie do tych, w pośród których żyjesz?

— Panie... panie...

— Że pochodzisz wreszcie z innego rodu? — dokończył Munito.

Baronowa wyprostowała się dumnie.

— Mów pan! — rzekła gwałtownie — i cokolwiek bądź mi odkryjesz, słucham cię.

— Pochodzisz pani — mówił Munito — z rodu cyganów!

Baronowa nie mogła się wstrzymać od wykrzyku.

— Ach! — zawołała — więc się nie omyliłam!... Te pragnienia niewytłumaczone, które mię opanowywały niekiedy, ta krew gorąca, która mię pali!... te dziwne fantazje, mimo mego wykształcenia... wszystko, czego nie rozumiałam, wszystko, co mię dziwiło i przestraszało... pojmuję teraz!...

I nie dając mówić cyganowi, wołała dalej:

— A więc jestem cyganką! i mam ojca!... a ojciec ten jest pewnie jakim biednym kuglarzem, wendrującym po jarmarkach i małych miasteczkach...

Ale! co tam... może przyjść... przyjmę go w moje objęcia... Nie jestem już baronową de Planche-Mibray, nie jestem już wielką panią, jestem jego córką!

Mówiła to z takim zapałem, z wyrazem miłości tak wielkiej i głębokiej, że Munito doznał dziwnego wzruszenia.

Wstręt, jaki czuł do tej kobiety, podobnej jak dwie krople wody do kata jego młodości, uleciał nagle, a padając przed nią na kolana, zawołał:

— O! pani... wybacz mi to, co ci powiem...

Łza zabłysła w jego oczach dzikich, a głos jego drżał.

— O mów pan — powtórzyła — mów...

— Ojciec twój nazywa się Fanfreluche!

Imię to wywołało nagłe wspomnienie dawne i straszne w umyśle pani de Planche-Mibray.

Od sześciu lat będąc zamężną, przebywała często w Burgundji, to w Planche-Mibray, niedaleko miasta Auxerre, w którym niegdyś kuglarz popełnił to morderstwo.

Nieraz słyszała, że pan de Maugeville, stryj Manuela, zamordowany został przez kuglarza zwanego Fanfreluche.

I blada, z wzrokiem obłąkanym, powtarzała ciągle to imię:

— Fanfreluche!

Potem nagle chwytając za rękę Munita, w rozdrażnieniu dzikiem, prawdziwa z krwi cyganka, zawołała:

— Och! upewnij mię pan, upewnij, że to imię Fanfreluche, nie jest imieniem mego ojca! Lub że nie mój ojciec jest tym nędznikiem, który zamordował swą żonę w Auxerre.

Munito schylił głowę.

— To on — odrzekł.

— Więc to on! to on!... I ty przychodzisz mi mówić, że ten człowiek jest moim ojcem!... ze zabił moją matkę!... Ach! uchodź! nie wierzę ci!... nie chcę ci wierzyć!...

— A jednak jesteś prawdziwą cygańską córką w tej chwili! — odrzekł Munito.

— Dobrze! — mówiła baronowa z wzrastającym zapałem — niech i tak będzie! Jestem cyganką!... Ale nie jestem, nie chcę być córką człowieka, który się splamił krwią mojej matki...

— Matka pani oszukiwała go... — ozwał się Munito.

— Była moją matką — jęknęła — i zakazuję ci naruszać jej pamięć... Idź precz! precz!

Była tak straszną i groźną w tej chwili, że Munito cofnął się ku furtce ogrodu, która była podchyloną. Ale nagle się zatrzymał i rzekł:

— Pani, jeszcze jedno słowo, a posłannictwo moje będzie skończone.

— Idź precz! mówię ci! — wołała ciągle.

Ale Munito nie ruszał się.

— Nie — odrzekł — nie odejdę, dopokąd wszystkiego nie powiem.

Krew cygańska uspokoiła się w niej na chwilę. Kobieta wykształcona przemówiła.

— Mów pan zresztą — odrzekła — ale spiesz się...

— Jesteś pani w prawie — mówił Munito — zaprzeć się swego ojca, broniąc pamięć swej matki.

— Cóż dalej?

— Ale czy masz pani prawo uczynić to, co mówią?

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Istnieje na świecie człowiek, który cię kocha i którego ty kochasz pani...

Baronowa cofnęła się, a Munito odzyskał na chwilę ten wpływ, który na nią wywierał.

— Człowiek ten — mówił dalej — pochodzi z tej samej familji, z tej samej krwi, jak ten, który był przyczyną śmierci pańskiej matki!...

Kolana ugięły się pod panią de Planche-Mibray.

— Czy nie boisz się pani — kończył Munito —

że matka twoja wyjdzie zakrwawiona z grobu, w dniu, w którym byś poślubiła Manuela de Maugeville?

Powiedziawszy to wyszedł, a pani de Planche-Mibray upadła zemdlona na ławkę.

. . . .

Munito odszedł krokiem szybkim. Twarz mu pałała, a serce biło w piersi gwałtownie.

Coś dziwnego, czego nie mógł sobie wytłumaczyć, działo się z nim. Jakieś dziwne myśli, z których zdać sobie sprawy nie umiał, snuły mu się po głowie.

Zaszedł tak aż nad brzeg Sekwany, usiadł na wybrzeżu i zaczął się przypatrywać wodzie, która płynęła głęboka i wzburzona.

— Ach! — szeptał — kobieta ta jest prawdziwie z naszego rodu... Ten jej gniew, ten wzrok błyszczący, te wybuchy namiętności i nienawiści... prawdziwa córka Perdity!...

Po raz pierwszy w życiu wymówił to imię bez dzikiej nienawiści.

Pani de Planche-Mibray owładnęła nim, pokonała go swym wzrokiem, jego, który dotąd zawsze opanowywał wszystkich swemi oczami pałającemi.

— Tak jest — mówił dalej, zakrywając twarz rękami — tak, ona ma słusznie... Nie może kochać człowieka, który się splamił krwią jej matki.

Mówiąc to zamyślił się głęboko i przypatrywał ciągle wodzie płynącej.

Potem nagle smutek go ogarnął.

— Nigdy, nigdy — szepnął — nikt tak do mnie nie mówił... nigdy żadna kobieta nie wytrzymała mego wzroku... a ta mię wypędziła!...

Munito drżał i ciągle wpatrywał się w Sekwanę.

I była chwila, w której jakgdyby szał go ogarnął, i chciał się zsunąć z wybrzeża do tej wody głębokiej, która by go przyjęła chętnie, tak jak przyjmuje wszystkich znużonych życiem, i pochłonęła by go na zawsze..

Na chwilę zapomniał się nawet i szeptał imię tej kobiety, przed którą zadrżał pierwszy raz w swem życiu.

Potem, nagle, jakby oświecony nagłem odkryciem, wykrzyknął:

— Czyż bym ją kochał, ja?!

I wstrząsnąwszy się na to zapytanie dziwne, które zadał sam sobie, przypomniał nagle przysięgę daną panu de Villenave, i obietnicę pomagania mu we wszystkiem.

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło i odskakując od przepaści, która go pociągała, uciekł.

Baronowa wyganiając Munita, rzuciła go do nóg swoich!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

(Ciąg dalszy.)

III.

Matka Gustawa nie spieszyła się z powrotem do domu. Upornie milczące zachowywanie się syna po ostatniej z nią rozmowie, niepokoiło ją bardzo. Wyczekiwała więc, nie wdając się wprawdzie w grę, lecz gotowa każdej chwili biedz w pomoc i obronę syna, gdyby zaszła tego potrzeba. Kilka dni upłynęło jednakowoż bez żadnej zmiany, pani Zofia przepędzała prawie cały czas w towarzystwie Heleny. Dziewczę tuliło się do niej całem sercem, raz dla tego, że była matką Gustawa, a powtóre, ponieważ nieznająca prawie pieszczot i przywiązania matki, musiała przylgnąć do tej zacnej i rozumnej kobiety.

W długich nieraz rozmowach unikała tylko Helena wszelkiej wzmianki o Gustawie, a gdy i pani Zofia, znając usposobienie dla niej syna, nie bardzo chętnie o nim się odzywała, wiedziano bardzo mało w domu p. Amadeusza, co się z nim działo. Przychodził od czasu do czasu jak dawniej, w zachowaniu tylko widać było pewną zmianę. Był uprzedzająco grzecznym, rozmownym, ale każde jego słowo, rzucane dawniej nieraz z nieoględnością, było dzisiaj sztywne i wyrachowane.

Dążył do dobrze obmyślonego i wytkniętego celu, a choć Helena to czuła i widziała, nie mogła się niczego dorozumieć.

Na takich to rozmowach, domysłach i rachubach, ubiegał dzień po dniu, bez najmniejszej zmiany i różnicy.

Nadeszła jednak chwila, w której matka i Helena spostrzegły jakąś niepojętą dla nich, nagłą zmianę w Gustawie.

Twarz jaśniała mu radością jak nigdy. Był czułym dla matki a wylanym dla bliżej znajomych i gdyby tylko wypadało, byłby wszystkich ściskał i całował począwszy od pana Amadeusza, a skończywszy na Handzi. Jednem słowem cieszył się jak dziecko, któremu nareszcie dano upragnione cacko.

— Z kąd taki humor? — pytała raz pani Zofia, przelękniona więcej objawami radości niż smutku.

— Czyż mi źle na świecie kochana matko, żebym się miał nie cieszyć?! — odparł syn, i odtąd hamował się w okazywaniu swych radosnych uczuć.

Czego się jednak tak cieszył pan Gustaw?

Widział się i mówił z Alicją!

Było to zaś tego samego dnia i o tej samej godzinie, w której pan Jonatan Enders zjawił się u znajomego nam pana sędziego. Wieczorem po wizycie Zandera, Gustaw spieszył z bijącem sercem do doktora P.

Satruszka otworzyła mu drzwi i nic nie mówiąc, poprowadziła do salonu.

Po dobrym kwadransie zjawił się sam doktor. Zaledwie jednak wszedł, stanął i zawołał zdziwionym i gniewnym tonem:

— To ty Gustawie?!

— Panie — tłumaczył się Gustaw — daruj, że użyłem tego fortelu, ażeby się widzieć z tobą, a za nim osądzisz, poznaj powody, które mnię do tego skłoniły.

Lekarz milczał ponuro.

— Panie, wiem, że u ciebie jest ta nieszczęśliwa ofiara... którą muszę przebłagać, choćbym to miał okupić życiem!...

— Za co? — zapytał lekarz szyderczo.

— Za to, że...

— Śmiało młodzieńcze!... Chcesz ją przebłagać, że spotkawszy na pół szaloną na ulicy, wciągnąłeś ją gwałtem do swego domu przy pomocy zacnych towarzyczy i tam ją...

Gustaw drgnął, lecz nie mógł znaleźć słowa, ażeby przemówić. Lekarz zaś ciągnął dalej z nieopisanem szyderstwem:

— Lecz to wasze rzemiosło! przemysł szlachetny szlachetnych synów, których przodkowie zdobywali sławę na polu bitwy, nauki i poświęcenia, a wy na polu, który okaże się więcej podłym!

— Panie!... — jęknął Gustaw.

— Lecz nie dość wam tego było! — wołał lekarz nie zważając na Gustawa.—Gdy mi się udało wyrwać nieszczęśliwą z hańbiących waszych szponów, otaczacie dom mój szpiegami, a zwietrzywszy ofiarę, używacie imienia jej ojca, ażeby się wedrzeć aż tutaj!

— Panie! — przerwał Gustaw — przysięgam ci na Boga, że kobieta ta wyszła równie czysta z mego domu, jak doń weszła i że inne powody skłoniły mię do tego kroku.

Wypowiedział zaś te słowa z taką cechą prawdy, że lekarz zapytał już daleko łagodniej:

— Jakie powody?

— Przyznaję — mówił Gustaw — że pozory są przeciwko mnie. Lecz posłuchaj. Zaledwie przestąpiła próg mego domu, zemdlała, a zemdlenie to trwało aż do twego panie przyjścia. Przez cały dzień jej pobytu u mnie czuwałem nad nią przy pomocy Wicusia i raz jeszcze przysięgam ci, iż wtedy już wszelka myśl nieszlachetna była daleką odemnie. Śledziłem z zajęciem każdy rys jej anielskiej twarzy i starałem się wyczytać w niej tajemnicę, kryjącą się na dnie tej zbolałej duszy. Powiem zaś otwarcie, że później wszystkie inne uczucia ustąpiły miejsca obawie, gdy się dowiedziałem, kogo ukrywam pod swoim dachem. To też gdy powróciłem wieczór do domu, ucieszyłem się prawie wiadomością o jej zniknięciu. Jaką jednak noc przepędziłem, Bogu jednemu wiadomo... Noc tę błogosławię jednak. W ciągu bowiem tych kilku ciemnych godzin, począłem i nauczyłym się patrzyć jasno na świat i moje na nim życie. Postać Alicji była mi tą gwiazdą przewodnią, której łagodne i dobroczynne światło rozlało się po mojej ciemnej duszy i spiącem sercu. Uczułem głęboki żal i wstyd!... Żal, iż oddałem może na pastwę strasznego losu biedną, niewinną i opuszczoną kobietę, nie umiejąc otoczyć ją opieką, a wstyd, że oddany egoizmowi, zamiast myśleć o jej ocaleniu, myślałem jedynie o smutnych dla mnie skutkach, gdyby tę kobietę odkryto u mnie... Wierzaj mi panie — dodał Gustaw smutnie po chwili milczenia — wierzaj, że dzisiaj staję tu przed tobą jak przed sędzią ostatecznym, wierzaj, że jedynym moim zamiarem jest chęć przebłagania, a zarazem podziękowania Alicji, gdyż jeżeli dziś jestem innym człowiekiem, zawdzięczam to jedynie zjawieniu się tej niewinnej...

— Któż ci powiedział, że jest niewinną? — przerwał lekarz, wpatrując się badawczo w twarz Gustawa. Czytał w jego duszy jak w księdze otwartej i wierzył mu.

— Kto? — powtórzył Gustaw. — Czyż nie wystarczy raz ją zobaczyć, ażeby nabrać tego przekonania!

— Bodaj to młodość! — mruknął lekarz i dodał głośno: — Chciałbyś więc ją widzieć?

— Błagam cię o to panie!

Lekarz milczał. Zdawał się wahać, namyślać. Po dobrej chwili odezwał się:

— Zawsze cię lubiłem kochany Gustawie, to też srodze bolałem, w chwili, w której sądziłem, że muszę stracić dla ciebie szacunek. Wierzę ci jednak teraz i cieszę się z tego szczęśliwego dla ciebie obrotu rzeczy. Przebyłeś próbę ogniową, daj Boże przebyć i dalej! Chcesz się widzieć z Alicją, lecz pomyśl, że gdyby to nawet było możebne...

— Wszak od ciebie panie zależy — przerwał Gustaw błagalnym tonem.

— Niezupełnie, gdyż głównie od stanu jej zdrowia. Lecz chciałem zwrócić twoją uwagę, iż cię nie zna. Była bowiem wtedy nieprzytomną. Nierozumiem zatem, jakby jej to nawet wytłumaczyć.

— Już ja znajdę sposób, tylko mi ją pozwól widzieć — prosił Gustaw.

— To, to, to! Wam młodym wszystko wydaje się możebnem. Nie, nie można!... Lada wzruszenie mogło by jej zaszkodzić.

Lekarz oponując, czynił to dla lepszego wybadania Gustawa. Wyrobiwszy zaś sobie w końcu zdanie o jego uczuciach, miękł powoli i nareszcie zezwolił.

— Ale nie dzisiaj... Przyjdź jutro wieczorem — zakończył, żegnając uszczęśliwionego Gustawa.

IV.

Należałoby powiedzieć bodaj parę słów o lekarzu P. Zadowolnimy się jednak nadmienieniem tylko kilku drobnych okoliczności, dotyczących jego osoby. Był doświadczonym, bo starym, dziwakiem, bo kawalerem, nareszcie wszystkiem tem razem, bo uczonym.

Badał naturę, ludzi i życie.

Zawezwany do Alicji, poznał na pierwszy rzut oka, z kim ma do czynienia. Gdy zaś wieczorem tego samego dnia był świadkiem odkrycia zbrodni w hotelu, nabrał wnet przekonania, że osobą, która znikła, była Alicja, ale że nie ona popełniła zbrodnię. Zbadał trupa i uśmiechnął się złośliwie. Wprawne jego oko odkryło prawdziwą przyczynę śmierci libertyna, a ślady uduszenia na jego szyi wytłumaczył sobie prędko.

— Niech kochani koledzy wysilą się trochę — pomyślał. — Ta trucizna — dodał, chowając flakonik — nie wszystkim jest znaną!

Miał zamiar zwrócić ją później i dowieść kolegom, jak mało umieją, gdyż był pewnym, jak się też i stało, że obdukcja wykaże otrucie.

O ile jednak zacny eskulap był złośliwym dla kolegów, o tyle był dobrym i ludzkim dla innych śmiertelników. Ulitował się nad biedną istotą, której smutne dzieje wyczytywał na jej twarzy i postanowił ją uratować.

Uratować z rąk lekkomyślnego młodzieńca i z rąk jeszcze, zdaniem jego, lekkomyślniejszego prawa.

Gdy Alicja odzyskała wieczorem przytomność, wysłał Wicusia do apteki, a sam ją wyprowadził i zawiózł do siebie.

Widzieliśmy zaś, jak mu się to dobrze udało. Alicja, chociaż powoli, przychodziła tymczasem z każdym dniem do zdrowia.

Straszna rzeczywistość położenia przygnębiała ją tylko do tego stopnia, że choć z wdzięcznością przyjmowała usługi lekarza, długi czas, prawie ani słowem do niego się nie odezwała. O nic też nie pytała i zdawało się, jakby o niczem nie chciała wiedzieć. Lekarz poczynał się obawiać, już nie o jej stan fizyczny, ale moralny.

Postanowił użyć środka rozpaczliwego, wywołać silne wstrząśnienie umysłu i albo, albo... Nie widział innego ratunku...

Wahał się jeszcze jednak, gdy służąca podała mu mu ową karteczkę i pierścionek.

Był pewnym na razie, iż to ojciec Alicji, a nie kto inny, chciał się widzieć z córką. — „Córka pozna mnię po tym pierścieniu!“ — były słowa kartki.

Lekarz wszedł z pierścionkiem w ręku do pokoju Alicji.

Leżała na kanapie w pół śnie, a starzec, który ją już widział tyle razy, zatrzymał się, uderzony widokiem jej niezwykłej urody.

Pan August nie przesadzał wcale, opisując Alicję. Jakże ta bladość królewskiego czoła, odbijała ślicznie od splotów hebanu... Jakże ten smutek, na jej gdyby Fidyasza dłutem wykutej, a tchnieniem Boga ożywionej twarzy, przejmował do głębi swym niemym wyrazem... Jakże ogień zmrużonego i jedwabną rzęsą przyćmionego oka, przeszywał powiekę... przestrzeń... i wdzierał się gwałtem do serca!...

Jakże te usta...

Lecz dajmy pokój. Starzec stał długo wpatrzony w Alicję.

Nareszcie drgnęła i otworzyła oczy. Na razie patrzyła błędnie... powoli jednak wyraz ich stawał się coraz rozumniejszy.

Lekarz milczał, trzymając w wysuniętej ręce pierścionek.

Alicja ujrzała go i wzrok jej utkwił w błyszczącym kamieniu, lecz utkwił tak, iż starzec zadrżał.

Cofnął rękę. W tej chwili jednak Alicja, rzuciła się nań formalnie, wydarła mu pierścień, przytuliła go do ust i... wybuchnęła strasznym płaczem...

Lekarz odetchnął.

Za godzinę Alicja siedziała obok lekarza i coś jakby uśmiech, okraszał jej twarz.

Głosem cichym, spiewnym i smętnym opowiadała mu smutne swe dzieje.

— Lecz panie — kończyła —, czemże zdołam wywdzięczyć ci się za tyle współczucia i za tę prawdziwie ojcowską troskliwość, jaką otoczyłeś obcą i nieznajomą ci osobę...

— Pomówimy o tem później — przerwał lekarz. Teraz mamy do myślenia o czemś ważniejszem. Ten pierścionek przysłał tu ojciec pani.

— Mój ojciec?

— Tak — i chce się z panią widzieć.

— Mój ojciec? — powtórzyła Alicja. — Ależ ten pierścionek nie mógł być w posiadaniu mego ojca, gdyż nosiłam go zawsze na palcu i...

— Może to więc tylko podobny do tego, jaki pani nosiłaś? — przerwał lekarz.

Alicja zarumieniła się mocno i zdejmując szybko pierścionek z palca, wyszeptała dwie litery J. E. Opuściła smutnie głowę i zamilkła.

— Cóż? — pytał lekarz.

— To mój pierścionek — odparła zaledwie słyszalnym głosem. — Niestety mój!...

W takim więc razie, zbierz pani myśli i staraj się przypomnieć sobie, jakimby sposobem dostał się w obce ręce. Byłoby dla nas rzeczą wielkiej wagi wiedzieć, z czyich rąk pochodzi, tembardziej, że o ile mi wiadomo, ojciec pani wcale tu nie powrócił.

— Po cóż by miał powracać?

— Czy tak mówi córka o ojcu! — rzekł lekarz tonem surowym.

— Panie, daruj — tłumaczyła się Alicja, przyciskając do ust rękę starca — lecz pierścionek ten wywołał na jaw najdroższe mi wspomnienia, wspomnienia, które dawno już... dawno... spoczęły na dnie morza!... Ale nie!... nie!... — zawołała, rozognionem okiem wpatrując się w starca — ty masz doświadczenie, znasz ludzi, świat... powiedz... czy jest to możebne... ja go widziałam... słyszysz... widziałam go!...

Lekarz począł się obawiać, nie przerywał jednak.

— Tak... tak... — mówiła jakby do siebie. — Po owej strasznej nocy, rozjaśniło się na chwilę... o!... i wtedy widziałam go... szedł koło mnie, trzymając mnię

za rękę. Milczał, ale uścisk i ciepło jego dłoni, mówiły za niego. Tak... tak... to był on! Lecz czemuż nie przychodzi... Panie, błagam cię, mów... więc on żyje!...

Powoli tylko udało się lekarzowi uspokoić rozbolałą duszę Alicji. Opowiedział jej spotkanie z Gustawem i pobyt w jego domu.

— Tak — mówiła. — Weszliśmy do jakiegoś domu, ale tam było tak ciemno, że nic już nie widziałam.

— Zemdlałaś, drogie dziecko — tłumaczył lekarz. — A co do owej osoby, o której mówisz, to będąc wówczas na pół nieprzytomną, wzięłaś zapewne Gustawa za nią.

— Być może!...

W tej chwili służąca oznajmiła jego przybycie.

— Czy chciałabyś go widzieć? Właśnie nadszedł, dowiedzieć się o twojem zdrowiu.

Alicja nie wiedziała co odpowiedzieć. Położenie jej było tego rodzaju, że choć wiedziała, czuła i myślała, nie umiała sobie jeszcze jednak zdać dokładnej sprawy z tego, co się z nią i koło niej działo.

— Jak pan sądzisz? — odpowiedziała po chwili.

— Każda rozrywka jest dla pani dobrą. Zresztą Gustaw jest miłym i wesołym trzpiotem, a przytem w gruncie jak najlepszym człowiekiem. Poznawszy go, będziesz mogła powziąść dobre wyobrażenie o naszych ludziach i stosunkach.

Alicja nic nie odpowiedziała, a lekarz wyszedł na przyjęcie Gustawa. Jak go zaś przyjął, widzieliśmy.

Doświadczony starzec, chciał wpierw zbadać, zanimby przystał na to, czego sobie sam życzył. Chciał poznać zamiary Gustawa.

Kiedy jednak nareszcie pozwolił na widzenie się jego z Alicją, wiedział już, że przeszłość nie kryła nic złego — lecz nie był pewnym, co się stanie w przyszłości.

Zdawało mu się, iż silniejsze uczucie kiełkowało już w sercu Gustawa.

Starzec zamyślił się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

XI.

I stał się cud rzeczywiście.

Pewnego ranka w miesiącu marcu, podczas gdy Alberyk był jeszcze zajęty ukończeniem ważnej sprawy toaletowej, wszedł z dawną poufałością tak oczekiwany, a który od tak dawna progu jego nie przestąpił — wszedł Gaston! Wyrwał się z rąk fryzjerowi i rzucił na szyję wchodzącemu z okrzykiem:

— Gaston! Moje stare, poczciwe Gastonisko! Widzę cię raz przecie!

Uściskali się serdecznie, po bratersku, powstrzymując z trudnością wzruszenie gwałtowne. Skoro znaleźli się sam na sam:

— Nareszcie! — powtórzył Alberyk z dłońmi na ramionach Gastona. — Zabijemy na twoją cześć cielca tłustego; nie puszczę cię tak rychło! Niechże ci się przypatrzę — objął go czułym wzrokiem od stóp aż do głowy. — Co ci takiego? Zmieniłeś się, zmizerniałeś... Czyś chory?

— Eh! Zestarzałem się po prostu! — machnął ręką Gaston z udanem lekceważeniem. — Cóż w tem tak dziwnego? Wieki, jakeśmy się nie widzieli... powracam z wygnania. Wyobraź sobie, błądzę po Paryżu jak obcy; niczego poznać nie mogę! Musisz mi nie jedno objaśnić.

Z roztargnieniem, na chybił trafił, zadał mu kilka pytań obojętnych. Urwał wreszcie, a po chwili zaczął na nowo:

— Mów mi o moich... najprzód o mojej matce.. Czy zechce mnie widzieć? Boleśnie by mi było odjeżdżać, z nią się nie zobaczywszy.

Wzruszenie opanowało Gastona, mimo wysiłku nadludzkiego. Głos drżący zamarł mu w piersi, łza w oku błysnęła. Martwił często matkę; nigdy go zrozumieć nie umiała, a jednak kochał ją czule, i w życiu pariasa, które własną winą sobie zgotował, to go najwięcej bolało, że czuł się od serca macierzyńskiego odrzuconym.

— Odjeżdżać? — powtórzył Alberyk niby wierne echo. — Myślisz już o odjeździe? Djabelnie krótko go trzymają! — zauważył w duchu.

— Muszę — Gaston rzekł ponuro. — Za tydzień pokończę sprawy, które mnie tu sprowadziły, a potem, cóż bym tu robił? Dotąd mi jednak na pytanie nie odpowiedziałeś... Jakże są dla mnie usposobieni?

— Oh! jeżeli mowa o twoim ojcu, nie życzę próbować! — odparł żywo pan de Vesore — chyba gdybyś go rozbroił...

— Nie mam czem go rozbroić, i nie będę narażał się z pewnością na sceny do niczego nie prowadzące. A matka moja?

— Biedna kobieta! alež będzie uszczęśliwiona twoim widokiem! To się samo przez się rozumie. Pozwól ją uprzedzić. Zobaczy się z tobą gdzieś ukradkiem... bo u nich w domu nie możesz się pokazać w żaden sposób. Może nie wiesz... twoja... hrabina... no! panna Béraud, zamieszkuje teraz lewe skrzydło pałacu...

— A! — rzucił Gaston.

Po chwili rzekł:

— To dobrze — i nic już więcej nie dodał.

Jakoś im nie szła rozmowa. Zanadto było przedmiotów drażliwych, których bali się dotykać.

— I cóż — spytał wreszcie Alberyk z serdecznem wylaniem. — Przecie mi co opowiedz! Mówiono mi, że pełnemi żaglami płyniesz do nieśmiertelności. Nie znam prac twoich, wiesz, że prawie nic nie czytuję,

a twoje rzeczy zresztą mają być djabelnie poważne... rozumowania, uwagi nad kwestjami, dotąd nierozwiązalnemi, i daruj moją otwartość... powtarzam co mi się o uszy obiło... ubrane w formę trochę dziką... Skąd ty bierzesz takie pojęcia, w niczem do naszych na świat zapatrywań niepodobne?... Nie poczytuję ci tego za zbrodnię... zanotuj to sobie raz na zawsze; nie można przecie żądać od ludzi, aby widzieli różowo to, co im się czarno przedstawia... byłbym jednak wolał, szczerze wyznaję, żeby twój talent był sobie obrał drogę przyjemniejszą.

— Żebym pisał naprzykład — Gaston uśmiechnął się dobrodusznie — pieprzne romansiki i wierszyki karmelkowe, nieprawdaż? Zapominasz mój drogi, że musiałem liczyć się cokolwiek i z biedą.

— Domyślałem się tego. Wujaszek mści się zamknięciem źródła życiodajnego. Bardzo niegrzecznie z jego strony! Skoro jednak znajdowałeś się w kłopotach pieniężnych, dlaczego?...

— Uspokój się, tak źle nigdy ze mną nie było; jeżeli wziąłem się do pracy, to nie tylko, aby z niej żyć, ale aby dogodzić sobie w tem, co mi sprawia największą przyjemność.

— Ha! de gustibus, non est disputandum. Jednak dziwny z ciebie chłopak! To, co dla mnie wydało by się karą, jak skazanie na galery, tobie...

Przerwał mu szelest sukni za drzwiami.

— Mam ci słówko powiedzieć — wołała głośno hrabina Olga. — Czy wolno?

— Nie chcesz widzieć Olgi? — szepnął prędko Alberyk.

— Przynajmniej nie tak niespodziewanie... bałbym się...

— Masz słuszność zupełną! Wejdź tu! Jestem na twoje rozkazy aniołku — pan de Vesore otworzył drzwi na oścież od swojej fajczarni, skoro Gaston ukrył się w gabinecie przyległym, za oponą gobelinową. Nieruchomy, za tą ścianą improwizowaną, przypatrywał się kuzynce, która weszła w kapeluszu na głowie, mimo rannej pory, w bardzo eleganckim kostiumie wizytowym, spytać męża o jakieś nic nie znaczące objaśnienie.

— Jedziemy na tę mszę spiewaną, wiesz przecie? Chodźże Alinko! — ku drzwiom się zwróciła. — Nie znasz dotąd fajczarni Alberyka.

Alina!... znajdzie się naprzeciw Aliny!... Gaston wcisnął się w kącik najciemniejszy, ale wkrótce wysunął się znowu, wiedziony niepohamowaną ciekawością.

— Doprawdy? Więc wolno i mnie wejść do tego sanctuarium? — odezwał się głosik świeży, tonem żartobliwym. I nie czekając końca oświadczeń pełnych szarmanterji, któremi witał ją gospodarz, młoda hrabina de Sénonnes próg przestąpiła krokiem elastycznym.

Nosiła jeszcze pół żałoby. Modne ozdoby z dzetu, jak czarne djamenty połyskującego, przy aksamitnym paletocie i zgrabnym kapelusiku, ślicznie odbijały od jej płci śnieżnej białości; wianuszek fiołków spoczywał nad jej czołem, osłoniętem złotą włosów aureolą; wydawała się Gastonowi stokroć piękniejszą niż dawniej; wyszczuplała, kibić była giętka jak trzcina, twarzyczka bledsza o wiele miała wyraz czarowny zadumy smętnej, której przedtem nie widział. Nie, on nic w niej poznać nie mógł! ani tego czystego, klasycznego profilu, ani tych źrenic ciemnych, szafirowych, głębokich, o spojrzeniu melancholijnem, powłóczystem, ani tego uśmiechu tak pociągającego. Odszukując w pamięci ową Alinę Béraud, obok której przechodził obojętny, bez wzruszenia, bez dreszczy, którą w nas budzi pożądanie namiętne. Pytał osłupiały, co mogło tak ją przemienić, co owiało w tak krótkim czasie jej piękność, na której dotąd poznać się nie umiał, urokiem poetycznym, interesującym, idealnym? Nie przyszło mu na myśl, iż ten cud sprawiła po prostu boleść wielka, odważnie stłumiona; tajemnica miłości potężnej, dumnie na dnie serca ukryta; że on sam jest główną przyczyną tego uroku, który niby prąd magnetyczny wszystkich czaruje, kto tylko zbliży się do jej osoby.

— Czy chcecie panie, żebym wam towarzyszył? — spytał pan de Vesore.

— Dziękujemy, nie narzucamy ci podobnej pańszczyzny. Mamy już naszego cavalière servente.

— Kogoż?... Ah! zgaduję! — wykrzyknął hrabia, a żona tymczasem z uśmiechem filuternym, patrzyła na Alinę, która — tak się przynajmniej zdawało Gastonowi — spłonęła rumieńcem.

— Któż to taki? — powtarzał w duchu niecierpliwie. — Po co ten nieznośny Alberyk zgadywał tak prędko?! Byłyby kogoś nazwały, byłbym się dowiedział.

Alina tymczasem przechadzała się po pokoju, oglądając obrazy, gobeliny i meble; żądała tłumaczenia, zkąd pochodzi ta lub owa broń niezwyczajna, ta lub owa fraszka kosztowna, i objawiała zdanie własne, zawsze trafne. Opona ze starych gobelinów, sięgających czasów Renaissance'y, po za którą ukrywał się Gaston, zwróciła jej uwagę w szczególności. Długo stała przed nią, odgadując scenę z Mitologji, przedstawioną dość niejasno. Gaston nie śmiał się ruszyć... nie śmiał odetchnąć. Raz mu się nawet zdawało, że koniuszek szpiczasty bucika zgrabnego i malutkiego, dotyka się jego nogi. Uczuł się zgubionym, ale nie, żona jego przeszła, nie spostrzegłszy nic podejrzanego. Jego żona!... a przecież nią była!

— Spóźnimy się, skończyłaś? — zwróciła się pani de Vesore ku Alinie, która przewracała kartki w jakimś albumie. — Zresztą pozwól sobie powiedzieć moja droga, że to, co popełniasz, jest wielce niedyskretnem... nuż byś wpadła na ofiary Alberyka!... Będzie tego spora liczba, mniej więcej tyle, co na spisie Leporella. Zostawmy w spokoju te piękności! Niech im wymazanie z serca i pamięci lekkiem będzie! Do zobaczenia! — wstrząsnęła ręką męża po angielsku.

— Oho! — rzuciła od niechcenia, spostrzegłszy na krześle kapelusz Gastona — miałeś już tak wcześnie wizyty?... i laska do ciebie nie należy...

Na szczęście, nadto jej było pilno, nie miała więc

czasu dłużej się nad tem zastanawiać. Porwała pod ramię Alinę, i wkrótce odgłos kroków i rozmowy przebrzmiał na schodach. Wtedy dopiero odważył się Gaston wyjść z kryjówki. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, rzucił się ku oknu, aby dłużej na nie patrzyć. Stały przed koczem spuszczonym i zdawały się porozumiewać z mężczyzną młodym jeszcze, postawy prześlicznej, i nader imponującej. Kapelusz trzymał w ręku. Piękna jego głowa, okryta włosem płowym, uderzała wyrazem niezłomnej energji, i cechą arystokratyczną, ale cudzoziemską. Był to typ sławianina, w całej swojej pierwotnej piękności, złagodzonej najwykwintniejszem ułożeniem. Wzrokiem pożerał niemal Alinę, co Gastonowi wydało się wielce nieprzyzwoitem. I ona musiała odczuć coś podobnego, gdyż z pewnem zmięszaniem wyrwała mu rękę, którą cisnął w dłoni, i nieczekając, aby jej w tem dopomógł, szybko do kocza wskoczyła. Podczas gdy Olga, obok niej usiadłszy, zajęła się układaniem sukni w fałdy misterne, Gaston sam się dziwiąc wzburzeniu gwałtownemu, uważał z wzrastającą ciekawością, na czem skończy ten nieznajomy. Nie spiesząc się bynajmniej, usiadł i on naprzeciw dam, a zwróciwszy się półciałem do stangreta, dał mu jakieś polecenie tonem rozkazującym. Konie z miejsca ruszyły i Gaston mógł tylko jeszcze dopatrzyć, jak ten ktoś nachylił się poufale ku hrabinie de Vesore, która śmiała się i szczebiotała wesoło. Alina wciśnięta w głąb powozu, zasłaniała się parasolką, wzrok jednak zwycięzki i śmiały tego człowieka, nie odwracał się od niej ani na chwilę, czekając uparcie, aby raczyła spojrzeć w jego stronę.

— Musisz sobie przypominać mojego szwagra, Aleksandra Druckoj? — Alberyk uderzył go po ramieniu, aby go wyrwać z głębokiej zadumy. — Bawi tu od dwóch miesięcy.

— Wiedziałem, że znam gdzieś tę twarz pełną wyrazu — odrzekł Gaston z czołem chmurnem. — Poznaliśmy się przed laty... dawno już temu...

— Tak, tak, bardzo dawno... odtąd jakoś go nie korciło o Paryż zawadzić. Zabiegaliśmy mu drogę od czasu do czasu, gdzieś w Europie, gdy siostra, która go ubóstwia, znajdywała, że za długo się nie widzieli. Uszczęśliwiony był nią zawsze.. sam się jednak do niej trudzić nie raczył... Tym razem również tylko fantazja, kaprys przelotny, pchnęły go w naszą stronę. Jest jak wiesz niesłychanie bogaty, jak ptak wolny, a zblazowany, jak tylko być potrafią czystej krwi Rosjanie. Zdawałoby się, że jedne podróże dotąd mu się nie sprzykrzyły, bo nie jest wstanie usiedzieć na miejscu. A i to, nie tyle może czyni z ciekawości, ile raczej z nudów, gdziekolwiek się znajdzie. Zresztą był wszędzie, widział i przesycił się wszystkiem, nawet kobietami, w co ja ledwie mogę uwierzyć. Można ich nie cenić zbyt wysoko, to rozumiem! ale całkiem się bez nich obchodzić!...

— Mówisz zatem, że bawi tu od dwóch miesięcy? — bąknął Gaston zamyślony. — Kiedyż odjeżdża?

— Hm! jakoś wcale mu się na odjazd nie zbiera. Zdaje się nawet, jakby stale chciał tu zarzucić kotwicę. Słuchaj no Gastonie — pan de Vesore stał się nagle bardzo poważnym. — Wiesz, że cię kocham szczerze, nie weźmiesz mi więc za złe, jeżeli się ośmielę przestrzedz cię po przyjacielsku.

Wzruszył niecierpliwie ramionami, co miało znaczyć:

— Mów, mów! chociaż wiem i bez tego, co się święci!

— Otóż — Alberyk prowadził rzecz dalej z pewnem wahaniem — ta młoda osoba, jest bądź jak bądź twoją żoną, nosi twoje nazwisko... nie mówię, chroń Boże! żeby była nierozważną lub zalotną, ale on jest niebezpieczny, bardzo niebezpieczny! Znam się na tem, możesz mi więc wierzyć, a zawsze trzeba się obawiać kobiety obrażonej... Zresztą Alina, to „cicha woda“, Bóg czy szatan wie tylko, co tam w tej główce się roi...

— Po co ty mi to wszystko mówisz? — prerwał Gaston ledwie się w gniewie hamując. — Cóż mogę na to poradzić?!

Aż do krwi usta przygryzał, Alberyk zaś pomyślał w duchu.

— Ejże! Możem istotnie znalazł sposób najpewniejszy, zatrzymania go tutaj. Zostanie, aby się przekonać...

— Utrzymujesz zatem, że się do niej zaleca? — wtrącił Gaston porywczo.

— Oh! bynajmniej! Bałby się, żeby jej nie spłoszyć. Nie odchodzi atoli od siostry, która znowu jest zawsze z Aliną. Korzysta zresztą z kończącej się żałoby. Alina, która dotąd nikogo nie widywała, przyjmuje teraz wieczorami małe kółko wybranych... po większej części, dawnych ojca i stryja przyjaciół. Potrafił wśliznąć się pomiędzy nich, i odwidza ją jak może najczęściej.

— Sam?

— Zwykle z Olgą... jednak...

— Bywa tam i bez siostry, widuje go z przyjemnością, i prędzej czy później, padnie ofiarą tego rozpustnika! — pomyślał Gaston z goryczą, nie uważając, iż drze tymczasem rękawiczkę w drobne kawałki. — Zresztą — dodał z boleścią — czemu się tu dziwić? Wszak jest tylko kobietą!... a ja tak wiele względem niej zawiniłem!...

Pan de Vesore prawdę powiedział, chociaż rzucił tych kilka słów nawiasem. Myśląc, iż działa jako głęboki dyplomata, iż uderzywszy w struny najdrażliwsze zranionej miłości własnej, obawy przed śmiesznością, jaką w oczach świata okrywają się mężowie oszukani, a kto wie czy i nie zazdrości potrochę, nawróci Gastona na drogą obowiązków. Jakby on sam miał najlżejsze o wypełnianiu obowiązków wyobrażenie!

Książe Druckoj zajął się Aliną szalenie. Wszystko w niej go zachwycało, wszystko miało urok nowy, niepojęty! Jej wyłączne położenie, przedziwna czystość i ducha prostota, nawet jej ostrożność niesłychana.

Znużył się kokietkami, wystudjowawszy z bliska wszelkie odmiany najponętniejsze tego species, tak u siebie jak i zagranicą. Przestał wierzyć w niewiniątka. Według jego smutnego doświadczenia, była to figurka teatralna, fałsz chodzący, która ukrywa pod głupią naiwnością, grubą wszech rzeczy niewiadomością, najgorsze w świecie instynkta na wpół obudzone. Zbrzydziły mu się drobne nikczemności, nieodłączne od romansów z mężatkami, prosta zaś rozpusta, była mu wstrętną od lat najmłodszych. Zamiłowanie prawdy, odtrącało go od świata zakulisowego. Odkrył, iż damy teatralne, wcielając się co wieczór w inną postać, stają się w końcu jakąś mozajką ról najrozmaitszych, i w chwilach nawet, kiedy są najwięcej wzruszone, recytują najfatalniej ustępy napuszone, tragi - komiczne, których się jak papugi wyuczyły. Już i piękne cyganeczki, po Rossji wędrujące, o których wieść niesie, że oprócz płci smagłej, i jak brzoskwinia puszystej, oprócz czarnych źrenic palących, znają tajemnicę i zadają specjalny „napój miłośny“, już i te nawet nie były zdolne wyrwać go z śmiertelnych nudów przesytu. Był tem niepocieszony. Z jednej strony, nikt tak jak on nie potrafił kochać się w roskoszach życia, od najsubtelniejszych, aż do najrealniejszych, z drugiej, kobieta, mimo wszystkiego co utrzymywał, została dla tego libertyna, przedmiotem potężnym, prawie wyłącznym, który potrafił jeszcze bodaj na chwilę, obudzić w nim interes i ciekawość. Ale jaka kobieta?... Nieodgadniona, niedostępna, o której wiecznie marzył, dotąd żadnej nie napotkawszy, w której miłości czystej, wzniosłej, miał się odrodzić, miał w niej znaleść źródło cudowne „wiecznej młodości“, czego zaczynał uczuwać potrzebę, bo chociaż kończył dopiero rok trzydziesty szósty, moralnie po tem co przeżył (jak sam utrzymywał) czuł się starcem zgrzybiałym. Na szczęście, fizyczność nie zdradzała bynajmniej tej przedwczesnej zgrzybiałości, gdyby można przypuścić, że było tak wistocie; rysy piękne, regularne, cera świeża i zdrowa, nie miały w sobie ani cieniu chorobliwości i zwiędnienia, wzrost ogromny i siła herkulesowa, były niejako maskowane kształtami cudownemi, jak u Apolla belwederskiego.

Tak się odróżniał od tłumu pospolitego, najwyższą elegancją, niewymuszoną uprzejmością i prawdziwem wykształceniem, jakby natura urobiła go umyślnie do noszenia z godnością tytułu książęcego, którego blask miljony w dodatku podnosiły. Musiał to być człowiek nie codzienny, skoro nawet Alina była nim olśniona na pierwszy rzut oka. Nie domyślała się jednak, że i jej luba prostota, księcia również uderzyła i że znajdywał w tej młodej istocie skromnej i poważnej, obcej próżnostkom i słabostkom pospolitym , to, za czem gonił dotąd daremnie, to, co cenił najwyżej — wyjątek. Narzeczona, którą opuszczono w chwili, gdy miała przestąpić próg pożycia małżeńskiego i której serce, zaledwie otwierające się dla miłości, jak pączek róży, pod pierwszym cieplejszym słońca promieniem zamknęło się nagle i skamieniało zdradzone najhaniebniej, zawiedzione w najsłodszych nadziejach, dziewica wdowa, nosząca ciężar wdowieństwa z urokiem niewypowiedzianym niewinności i godności pełnej spokoju, czyż w tej istocie tak dziwnie zdwojonej, złożonej z żywiołów tak różnorodnych, nie było czaru dość potężnego, aby wzbudzić życie nawet i w człowieku na wszystko zresztą obojętnym? Z pierwszych listów siostry wyrozumiał, że nadzwyczajność tej awantury może być dla niego w skutkach arcyprzyjemną. Myśl podróży do Paryża, niby błyskawica przez głowę mu przeleciała, to coś warte było trudu. Następnie wyrozumował, iż lepiej nie pokazywać się na razie, wśród kryzys najgwałtowniejszej. Łzy były mu antypatyczne, choćby płynęły z oczów najpiękniejszych i choćby jego było zadaniem osuszyć takowe. Poczeka, aż nastąpi przesilenie, rozpacz pierwotną zastąpi cicha rezygnacja, która wprawdzie uczyni zwycięztwo cokolwiek trudniejszem, niż gdyby był skorzystał z pierwszej chwili gniewu i oburzenia, podrażni go jednak i doda bodźca, którego już tak dawno nie doświadczył! Te wszystkie szanse na zimno obliczywszy, pomiędzy jednem a drugiem cygaretem, czekał cierpliwie, rozrywając się tymczasem gdzie indziej, chwili rozpoczęcia kampanji. I cała ta przemądra taktyka, na nic mu się nie przydała, szyki pomięszały mu się najfatalniej, czuł się najzupełniej z kolei wyrzuconym; lis chytry i przebiegły (jak się często zdarza) złapał się w własne sidła. Żywa zagadka, którą miał przed oczami, codzień go więcej zajmowała. Po pierwszem z nią spotkaniu, rzucił od niechcenia swojej siostrze:

— Mimo twoich pochwał, nigdym jej sobie tak nie wyobrażał... jest czarującą, po prostu anielską!

Powiedział co myślał, ale powiedział w tym celu, aby to było powtórzone, czego też Olga zrobić nie zaniedbała, a jednak usłyszawszy kompliment tem pochlebniejszy, że ubocznie do trzeciej osoby powiedziany, Alina nie okazała nazajutrz przy spotkaniu z księciem ani pomięszania, ani choćby najlżejszego odcieniu kokieterji. Miał wiele rozumu, nikt nie potrafił lepiej od niego, bądź gawędzić swobodnie o wszystkiem i o niczem, czystko po parysku, bądź też, gdy wpadł w zapał, który czasem zastępował zwykłą apatję i przypominał nagle lwa rozbudzenie w słońcu drzemiącego, mówić o rzeczach najpoważniejszych, wzniośle, prześlicznie, z prawdziwem natchnieniem. Wysilał się dla tej dziewczynki, odkrył atoli wkrótce z wielkiem zdziwieniem, iż nie tak łatwo olśnić ją, jakby się zdawało. Skoro przeszło pierwsze na jego widok zakłopotanie, umiała rzucać odpowiedzi pełne dowcipu na parodoksy, w których był mistrzem; jej nicią przewodnią była szczerość, a sąd jej był zawsze trafny. Wykształcona rzeczywiście, chociaż z tem się kryła, niemal mogła rozmawiać o tysiącu przedmiotach, które wykluczały wszelkie grzecznostki; zresztą książe byłby się wstydził w obec niej uciekać się do sposobów tak pospolitych; ufał raczej skutkom, opartym na coraz

ściślejszej znajomości i rodzącej się stąd sympatji, iż wzbudzi w niej zaufanie i rzuci mu ją w końcu w ramiona. Hrabina uszczęśliwiona, że udało jej się Alinę rozerwać i w najlepszem świetle ukazać przymioty swojego wielkiego Saszy, z którego była dumną niesłychanie, pomagała w całej ducha niewinności i niewiadomości co czyni właściwie. Służyła im za łącznik.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pogadanka.

W naszym kochanym Lwowku wre jak w kotle. Kłócimy się, bierzemy za czuby, agitujemy jak za dobrych czasów, a powodem tej chryi wybory do Rady miejskiej.

W obec tego faktu wszystko nam inne z głowy wywietrzało, a najświeższe wypadki, jak śmierć Gambetty, samobójstwo Wimpffena i t. p. tyle nas obchodzą co śnieg zeszłoroczny, który mówiąc nawiasem mógłby nam się nader przydać, gdyż tegorocznego jakoś doczekać się nie możemy. Nawet wojna, tak święcie zapowiadana nam przez gazety, znikła jakoś ze szpalt dziennikarskich, ustępując miejsca drugiej, domowej, która zapewne skończy się bez krwi rozlewu, w najgorszym razie pozostawiając tylko parę sińców na głowach kilku trybunów.

Jużto do sejmikowania Polacy okazywali zawsze nader wiele ochoty i dziś, mimo zmiany stosunków, sejmikujemy jak za dawnych czasów, kłócąc się może lepiej jak nasi praojcowie, zrywając posiedzenia, i ta może tylko jest między nami różnica, że zamiast karabel posiadamy jedynie... laski. Dotychczas jakoś nie były one jeszcze w użyciu, lecz gdy tak dalej pójdzie, to za nic nie ręczę!

Ale niech tam sobie robią co im się podoba, choć może byłoby to dobrze, gdyby najbardziej krzykliwych trybunów miejskich trochę przetrzepali, bo tyle robią rwetesu, tak cały Lwów zaanimowali, że i karnawał przez nich się spóźnia i nikt o niczem innem mowić nie chce, jak tylko o sprawie wyborów. Ojcowie rodzin, molestowani o stroje karnawałowe, opowiadają o „Łączności i zgodzie“, na wzmiankę o balach, wieczorkach, zaczynają prawić o „Kole politycznem“ i tak dalej i dalej, słówka innego z nich nie dobędziesz, a przez sen jeszcze prawią o programie przyszłej rady.

Już to widocznie i mnie ta atmosfera owiała, kiedy aż tyle o wyborach nabazgrałem, lecz w obec faktu, iż, jak mówię, nikt o niczem innem mówić nie chce i przez cały tydzień o niczem innem nie słyszałem, dziwić mi się nie można, że myśli me pierwsze ku tej sprawie się zwróciły. Zresztą, w atmosferze miasta, którego myśli jedna tylko sprawa zajęła, brak tematu innego, i powinniście mi być nader wdzięczni, żem Was nie uraczył sążnistym wywodem, które stronnictwo mogłoby najbardziej dodatnio działać na korzyść miasta.

Licząc przeto na Waszą wdzięczność, przystępuję do świątyni Melpomeny.

Otóż na samym wstępie zaznaczyć mi wypada jedną nowalję sceniczną. Jest nią „Świat bąków“, komedja 4 aktowa F. Schönthana, tłumaczona z niemieckiego. Autor starał się wykazać, jak na każdym kroku ludzie bąki strzelają, czem i siebie zarazem wytłumaczył ze strzelenia bąka i napisania tej komedji. Jeden z mych znajomych słusznie się wyraził, że niemcom pod karą Kufsteinu powinni zakazać pisać komedje! Niech sobie piszą dramata, tragedje, zresztą co chcą, lecz pisanie komedji, tak jak Anglicy, powinni sobie wytłumaczyć. Na najlichszej farsie francuskiej można się uśmiać i ubawić, gdy komedje niemieckie tak znudzą i znużą spektatora, taki jakiś niesmak sprawiają, że ziewając co chwila pytasz sąsiada, kiedy to już koniec tego nastąpi.

Treści sztuki powtórzyć Wam nie mogę, gdyż wątku akcji, intrygi lub jakichś zawikłań w żaden sposób odnaleźć nie podobna a kilka dość szczęśliwie podchwyconych komicznych sytuacji, same przez się nie są znowu tyle warte, by się o nich rozpisywać.

Tłumacz sztukę tę zlokalizował i przeniósł akcję do Warszawy, przez co może nabrała ona dla nas trochę więcej interesującego kolorytu. Artyści wszyscy robili co mogli i z ról swych wywiązali się dobrze, pan Ruszkowski szczególniej w roli dziennikarza wzbudzał śmiech serdeczny i zbierał głośne oklaski. W ogóle artysta ten młody w ostatnich czasach nader się wyrobił, w czem mu wielce dopomogła reżyserja, przeznaczająca mu trudniejsze role.

Do naszego grodu zawitał obecnie p. Rychter. Jak się dowiadujemy, artysta ten został zaangażowany na tych parę ostatnich miesięcy dyrekcji p. Miłaszewskiego, czem ustępująca dyrekcja mile się w naszej pamięci zapisze. We środę widzieliśmy go w „Panu Jowialskim“ w roli tytułowej, w której zbierał zasłużone oklaski. Kreację jego w tej komedji można nazwać znakomitą, bo dał nam typ takiego Jowialskiego, że lepszego wymarzyć by sobie nie można. Nad grą artysty tej miary wartoby się głębiej zastanowić, a że dziś i tak już się za wiele rozpisałem, pozostawiam sobie ten temat do przyszłej pogadanki, gdy i inne swoje kreacje w pamięci nam odświeży.

Na końcu chyba jeszcze wspomnieć muszę o pięknym wierszu wstępnym, na powitanie nowego roku, pomieszczonym w „*Różowem Dominie*“. Jużto pismo to, przez krótki przeciąg swego istnienia, dało się nam poznać tylko z dodatniej strony, poruszając zawsze najżywotniejsze nasze kwestje i chłoszcząc wszelką blagerję i krzykactwo. Oprócz tych zalet odznacza się ono wykwintnym, salonowym stylem i piękną formą. Każdemu je przeto mogę przy nowym roku szczerze zalecić.

Kwik-kwak.



Z nowym kwartałem upraszamy szanownych czytelników o wczesne nadesłanie prenumeraty, dla uniknienia reklamacyj i uregulowania nakładu.

***Przedpłata wynosi** we Lwowie i na prowincji:*
Rocznie 8 złr. — Półrocznie 4 złr. — Kwartalnie 2 złr.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.